



Lektura książki Anny Kister o polskim Samodzielnym Batalionie Specjalnym formowanym w miejscowości Biełoomut, przywołała w mej pamięci postać znanego mi osobiście jednego z oficerów tej jednostki specjalnej – pułkownika Józefa Lipińskiego, zmarłego w 2009 r. Miałem okazję poznać go około 30 lat temu, jeszcze jako pełnego wigoru i energii sześćdziesięciolatek. Człowieka aktywnego społecznie oraz zawodowo, który wciąż pracował jako pilot wycieczek, głównie do ZSRR i ówczesnych państw demokracji ludowej. Moją uwagę zwrócił wówczas noszony przez niego w klapie marynarki znaczek spadochroniarza. Od tego momentu zaczęło się moje zainteresowanie jego osobą.

Dywerysant ze Wschodu



Kazimierz Kraj

Józef Lipiński pochodził z ówczesnych Kresów Wschodnich, z miejscowości Wiśniowka położonej w powiecie kołomyjskim, na obszarze dawnego województwa stanisławowskiego. Przed wojną działał w „Sokole” i uprawiał boks. Wiedziałem również, że po zajęciu tych terenów przez Związek Radziecki został wywieziony, gdzieś na Syberię i pracował tam przy wyrębie lasów. Do tej pory nie wiem, w jaki sposób trafił do 1. Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR, gdzie prawdopodobnie dlatego, że był posiada-

Józef Lipiński
na zdjęciu ślubnym



czem małej maturoy, został skierowany do szkoły oficerów artylerii. Później został oficerem w batalionie specjalnym „taty” Toruńczyka.

Z jego wspomnień wynikało, że przed przeniesieniem do SBS-u ukończył specjalną szkołę dywersyjno-sabotażową NKWD. Niestety, nie wiem, jaką i kiedy. Być może jednak odbywał szkolenie tylko w samym batalionie, a jego wspomnienia zostały przeze mnie niezbyt precyzyjnie zapamiętane.

Jedną z ciekawszych opowieści pułkownika było jego wspomnienie o bójce, do jakiej doszło pomiędzy żołnierzami polskimi i radzieckimi, w wyniku której dwóch czerwonarmistów poniosło śmierć. W książce Anny Kister nic na ten temat nie ma. Sam przebieg zdarzenia był następujący. Lipiński został wezwany przez swojego przełożonego, niestety, nie wiem, kto nim wówczas był. Został przezeń poinformowany, że polscy żołnierze zostali pobici przez Rosjan podczas zabawy i należy z tym skończyć. I że jest to zadanie Lipińskiego. Zabawy te odbywały się w jakiejś stodole, której oświetlenie stanowiła jedna lampa.

Ówczesny podporucznik Lipiński udał się więc na kolejną potańcówkę, polecając swoim podwładnym wskazać radzieckich żołnierzy, którzy poprzednio uczestniczyli w bójce. Sam, jak mi opowiadał, tańczył z miejscową nauczycielką; zresztą do późnej starości cieszył się niezwykłym powodzeniem u kobiet, czego sam był świadkiem.



Jeden z owych żołnierzy, sierżant o nazwisku Czerniawski (?) podszedł do Lipińskiego i poinformował, że właśnie pojawili się oczekiwani żołnierze radzieccy i już zaczęła się ich pyskówka z naszymi. Lipiński zostawił swoją partnerkę w towarzystwie sierżanta i podszedł do awanturujących się żołnierzy. Polacy wskazali mu prowadzących. Na to on jedną ręką wyjął pistolet, a drugą nóż. Najpierw strzelił w lampę, a potem najbliższego z czerwonoarmistów uderzył nożem. W tym momencie wybuchła ogólna bijatyka, a Lipiński spokojnie wrócił do swojej partnerki. Tymczasem w efekcie bójki padły dwa trupy, wynik starcia był pechowy dla radzieckich żołnierzy. Jednego z nich uśmiercił nożem mój rozmówca.

Jak sam wspominał, do udziału w tej awanturze i zabicia rosyjskiego żołnierza przyznał się w rozmowie z kolegą, generałem, dopiero po 25 latach od tamtych wydarzeń. Na ironię zakrawał fakt, że w imieniu batalionu w pogrzebie obojgu radzieckich żołnierzy oficjalnie uczestniczył jeden ze sprawców całej afery, podporucznik Józef Lipiński. Śledztwo w tej sprawie prowadził sędzia Hilary Minc. Udział popodporucznika Lipińskiego w bójce nie wypłynął jednak w toku przesłuchań, prawdopodobnie dlatego, że dziewczyna, z którą tańczył, zagwarantowała mu alibi. Jednym ze skazanych był natomiast sierżant, który przekazał Lipińskiemu informację o pojawieniu się na imprezie radzieckich żołnierzy.

Tak rozpoczęła się największa przygoda życiowa mojego rozmówcy, najpierw jako dywersanta i wywiadowcy, potem jako oficera z ochrony osobistej prezydenta RP Bolesława Bieruta, następnie oficera zwiadu Grupy Operacyjnej KBW i dowódcy Grupy Operacyjnej, w końcu zaś wieloletniego dowódcy pułków KBW w Krakowie, Bydgoszczy, Łodzi, Kielcach, Prudniku i w Poznaniu.

Ale zacznijmy od początku. W pierwszych dniach września 1944 r. licząca 12 ludzi grupa dywersyjna „Pomorze”, której dowódcą był podporucznik Henryk Mycko, została zrzucona w rejonie Nowych Konopat, w lasach lidzbarskich. Tak zaczęła się działalność polskich spadochroniarzy na zapleczu frontu trwająca ponad pięć miesięcy. Pechowo trzech członków grupy zginęło podczas potyczki z Niemcami w Pokrzydowie. Wśród nich był także pierwszy dowódca grupy – Henryk Mycko. Zaraz po wojnie w wyniku odniesionych ran zmarł kolejny członek grupy „Pomorze” – st. sierżant Leon Płonka.

Warto wspomnieć, że w pewnym momencie dowództwo nad grupą objął ppor. Lipiński, co wiązało się z kryzysem na tle nerwowym jej dotychczasowego szefa. Żołnierze grupy „Pomorze” na obszarze swego działania nawiązali



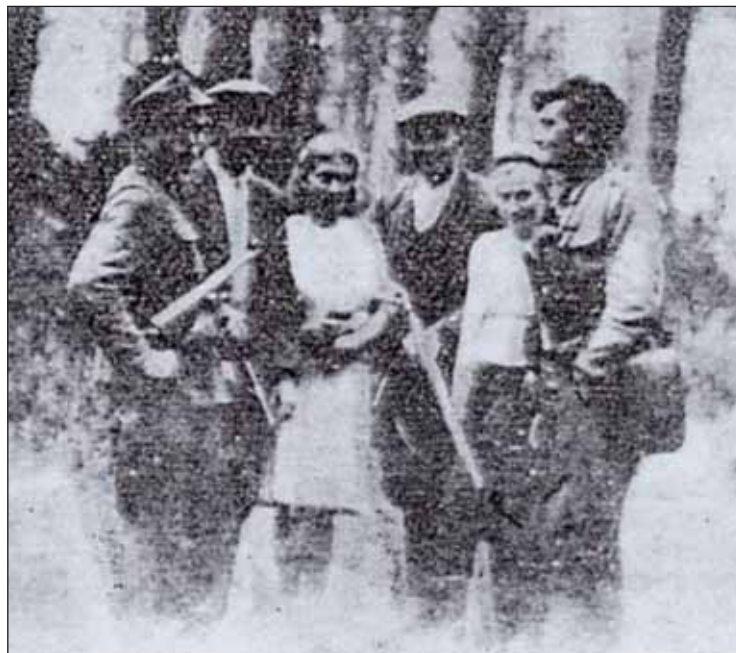
Nóż przwiadowcy ZiK wz. 1940 produkcji radzieckiej oraz zdobyczny pistolet Browning (FN) kal. 6,35 mm

współpracę z kilkudziesięcioma osobami, w tym żołnierzami Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich oraz autochtonami. Jednym z sukcesów oddziału było dotarcie do pierwszych linii ochronnych jednej z głównych kwater Hitlera – słynnego „Wilczego Szańca”. O przeznaczeniu tego obiektu polscy dywersanci dowiedzieli się jednak dopiero po wojnie.

Moim zdaniem warte są przypomnienia dwa incydenty, o których można było przeczytać w książkach opisujących działalność grupy „Pomorze”.

Pierwszym z incydentów była likwidacja w miejscowości Turza Mała 15 własowców¹. Idący na spotkanie ze swoim informatorem trzej

Grupa „Pomorze”:
ppor. M. Piesiór,
A. Smolińska – łączniczka,
H. Okulski,
J. Piotrowska – łączniczka,
L. Piotrowski – sekretarz
komórki PPR
w Czarnym Bryńsku,
ppor. Wł. Dudzik





członkowie grupy: Lipiński, Piesiór i Zakrzewski pomylili w ciemnościach adresy. Po wejściu do izby Lipiński zdumiał się, gdyż odbywała się tam ostra zabawa z udziałem dziewcząt i włosowców (ronowców). Ponieważ zaskoczony sytuacją Lipiński nie mógł się już wycofać, odwracając głowę² w kierunku Piesióra i Zakrzewskiego rozkazał im otworzyć ogień. Ostrzelani przez spadochroniary włosowcy zginęli lub zostali ranni. Wtedy dzieła zagłady dokończyły spadochroniarskie noże.

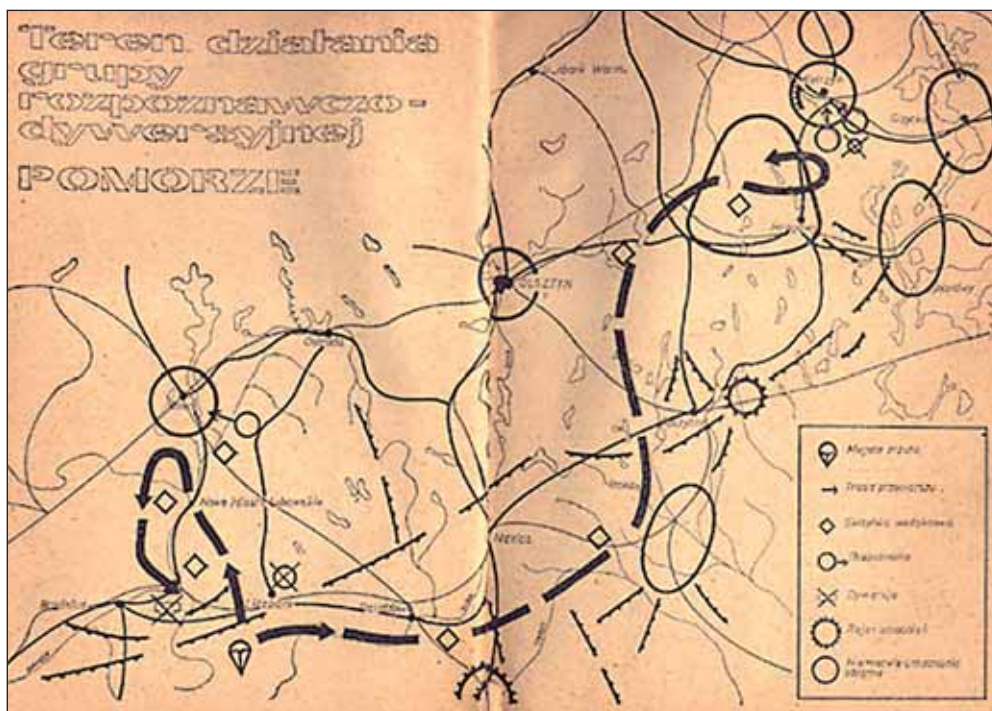
Po przeszukaniu zabitych okazało się, że mają oni przy sobie zdjęcia z okresu Powstania Warszawskiego obrazujące ich udział w mordowaniu mieszkańców naszej stolicy. Lipiński zakopał te zdjęcia w słoiku pod jakimś drzewem. Niestety, po wojnie nie udało się odszukać miejsca ukrycia tych fotografii. Incydent ten w publikacjach książkowych jest przedstawiany nieco inaczej. Włosowcy mieli wpięć wpięć ujęci i zostali zrewidowani, a dopiero po znalezieniu przez polskich dywersantów zdjęć – rozstrzelani. Prawidła wojny partyzantkiej są jednakże inne. Trójka naszych spadochroniary nie mogła sobie pozwolić na ujęcie i spokojne rewidowanie 15 doświadczonych w walce żołnierzy wroga. Jak wspominał pułkownik Lipiński, gdyby tylko im pozwolić na zorientowanie się, ilu faktycznie jest Polaków, to jak stwierdził, „zostalibyśmy przez nich rozdeptani”. Decyzję o likwidacji zaskoczonego wroga należało podjąć natychmiast i od razu bezlitośnie ją wykonać.

Drugi incydent, który wrył mi się w pamięć, to likwidacja komendanta obozu w Iławie. Esesman

ten dawał się również we znaki miejscowej ludności. Likwidację przeprowadziła grupa spadochroniary w składzie: Emil Piesiór, Józef Krawiec oraz Józef Lipiński. Dwaj pierwsi, jako byli żołnierze Wehrmachtu, byli przebrani w mundury SS i w charakterze esesmanów weszli do domu komendanta. Ubezpieczał ich Lipiński.

Po chwili od ich wejścia do domu na werandzie willi wyszedł bodajże Piesiór i zaczajonemu w pobliskich krzakach Lipińskiemu przekazał informację, że komendanta nie ma w domu, a oni sami piją herbatę wraz z jego żoną, oczekując na jego przybycie. Faktycznie po jakimś czasie przyjechał potężnie zbudowany komendant. Po jego wejściu Lipiński czekał na wystrzały, których jednak nie było. Po chwili zdecydował się interweniować i co zobaczył? Piesiór i Krawiec zmagali się z potężnym Niemcem, który trzymał w ręce pistolet. Jego żona zaś usiłowała wykręcić numer telefonu...

Lipiński pierwszą serię oddał do komendantowej, drugą do jej męża, każąc wpięć odskoczyć kolegom. Przewornie strzelał od dołu do góry, a nie w poprzek, by nie zranić współtowarzyszy. Okazało się, że po wejściu do domu Niemiec od razu się zorientował w mistyfikacji. Przyczyna tego stanu rzeczy były prawdopodobnie zbyt wysokie stopnie widniejące na mundurach naszych spadochroniary. Komendant natychmiast po wejściu do domu wyciągnął pistolet, a spadochroniary zawdzięczał życie jedynie swemu szybkiemu refleksowi, gdyż udało im się udaremnić Niemcowi użycie broni. Nadszedł w stycz-



Kazimierz Kraj, dr nauk humanistycznych, wykładowca Katedra Bezpieczeństwa Wewnętrznego Wyższej Szkoły Informatyki w Rzeszowie, specjalista w zakresie problematyki bezpieczeństwa, jak też historii służb specjalnych, zwłaszcza rosyjskich i radzieckich.



niu 1945 roku do rejonu działania polskich dywersantów doszedł front w wyniku czego nastąpił koniec partyzanckiej epopei grupy „Pomorze”.

Po zakończeniu wojny Lipiński przez jakiś czas służył w ochronie Bolesława Bieruta. Z tego okresu jego służby przypomina mi się opowiedziana przez J. Lipińskiego następująca sytuacja. Jest oficjalne przyjęcie. Goście oczekują przy stołach na wejście prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Kapitan Lipiński stoi pod ścianą. Otwierają się drzwi i wchodzi Bolesław Bierut. Wszyscy goście wstają. W tym momencie nasz czujny ochroniarz spostrzegł, że... generałowej Zarzyckiej³ suknia z tafty podniosła się tak wysoko, że odsłoniła jej barchanowe majtki. A prezydent tuż, tuż. Co uczynił w tej drażliwej sytuacji nasz dzielny oficer? Zrobił krok do przodu i obciągnął w dół suknię generałowej. Co zrobiła generałowa? Postawiła rzutkiemu kapitanowi pół litra, które wspólnie wypili. Jak stwierdził mój starszy kolega, była to „równa baba”.

Epizod służby w prezydenckiej ochronie nie trwał jednak długo. Lipiński już wcześniej działał na pierwszej linii walki z podziemiem, również ukraińskim. Pierwszym zadaniem kapitana Józefa Lipińskiego, jako dowódcy Grupy Operacyjnej WBW – „Lublin⁴ była likwidacja zgrupowania partyzanckiego „Zapory” działającego na terenie województwa lubelskiego. Następnie grupa ta została skierowana do zwalczania podziemnych ugrupowań „Jastrzębia”, „Ordon” i „Lonta”. Wcześniej, bo już w listopadzie 1945 r. porucznik Lipiński (jako oficer zwiadu) w zastępstwie pijanego dowódcy Grupy Operacyjnej, dowodził walką z oddziałami UPA we wsi Wereszyn. Jako ciekawostkę obrazującą skomplikowane stosunki społeczno-polityczne, ale i rodzinne tamtego okresu wystarczy powiedzieć, że kuzyn żony pułkownika Lipińskiego był członkiem siatki oddziału NSZ „Uskoka”, za co został skazany na karę śmierci (nie wykonaną).

Kolejnym zadaniem Józefa Lipińskiego było objęcie dowództwa nad pułkiem KBW w Bydgoszczy i udział w zabezpieczeniu operacji wymiany pieniędzy. Polegała ona na rozwożeniu ładunków nowych banknotów do lokalnych oddziałów banku; podobno po zakończeniu tego zadania pozostał Lipińskiemu jeden worek z pieniędzmi... do którego nikt nie chciał się przyczynić. Co zrobił wówczas dowódca pułku? Załadował „trefny” worek do samochodu, udał się do mieszkania wojewódzkiego pełnomocnika do spraw wymiany pieniędzy i wrzucił mu worek z „mamoną” do przedpokojku, pozostawiając oszołomionego urzędnika z problemem.

Ostatnią akcją bojową, w której dopisało Józefowi Lipińskiemu przystawione żołnierskie szczęście, była likwidacja grupy Kazimierza Au-



gustyna ps. „Miecz”. Akcja ta odbyła się w Kłęczanach, bodajże w 1953 r. Lipiński, mimo że był dowódcą pułku wziął w niej osobisty udział. Jak mi wspominał nudziło go monotonne koszarowe życie.

Zasadzka na grupę „Miecza” została zorganizowana zgodnie z wszelkimi kanonami sztuki. Ukryci w lesie żołnierze odcinali odwrót. Sam dowódca pułku z grupą żołnierzy zajął punkt obserwacyjny na pagórku. W pewnym momencie z domu wyszło dwóch mężczyzn, którzy ruszyli przez pole w kierunku lasu. W tym momencie grupa uderzeniowa weszła do stodoły, w której przebywali pozostali członkowie grupy. Rozpoczęła się strzelanina.

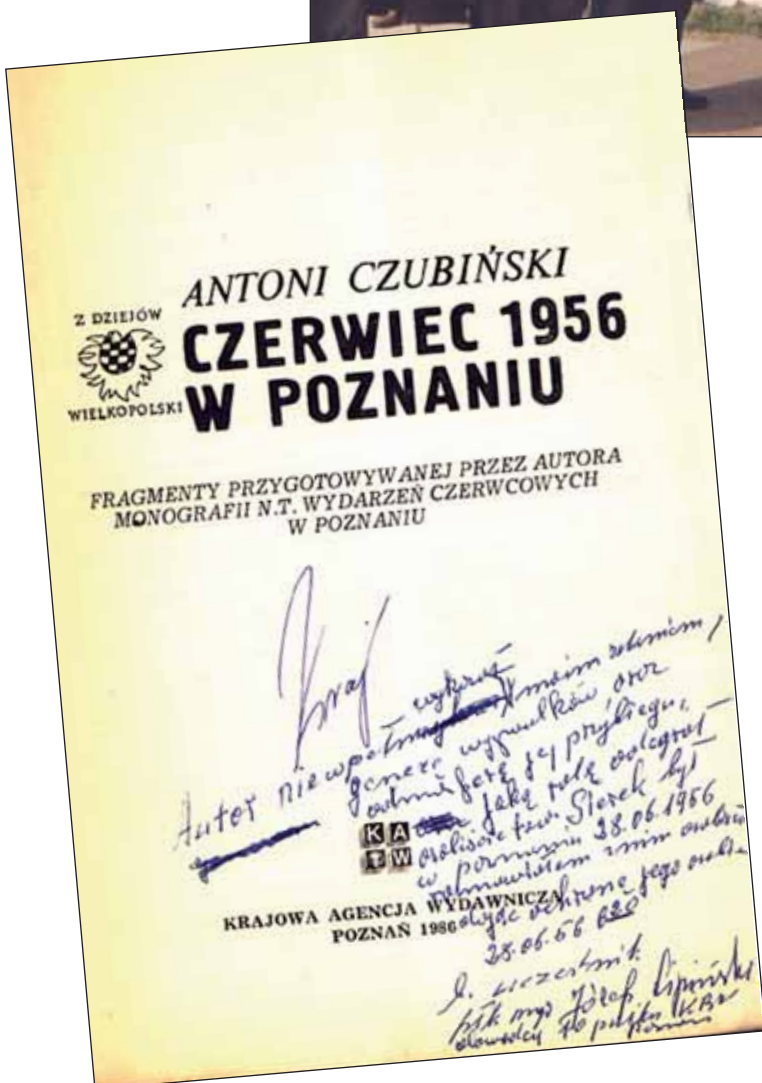
W tym momencie dwaj ludzie maszerujący polem ruszyli biegiem do lasu. Na rozkaz Lipińskiego erkaemista otworzył do nich ogień, kładąc trupem obydwu mężczyzn. Strzelanina ucichła. Po chwili z pagórka Lipiński zszedł na drogę, towarzyszyło mu kilku żołnierzy. Pod dom z lewej strony poszedł szef (?), PUBP. Gdy major Lipiński zbliżał się do domu, z budynku został rzucony granat, który nie wybuchł. Chwilę później z domu

*Kombatantkie spotkanie
żołnierzy Grupy „Pomorze”*





Plk Lipiński w grupie wysokich oficerów WP



wypadł rosy mężczyzna, trzymający przy biodrze Parabellum i stanął oko w oko z Lipińskim, któremu – jak sam twierdził – w tym momencie „śmierć zajaśniała w oczach”. A postrzał w brzuch (Lipiński był po posiłku) z kilku metrów pociskiem 9 mm oznaczał w tych czasach śmierć. Lipiński trzymający w ręce zdobyczną FN-kę strzelił jednak do „Miecza” pierwszy, celując mu w głowę. Trafił przeciwnika na wysokości oka, padający „Miecz” też zdołał jeszcze wystrzelić, lecz pocisk nie trafił.

Kilka lat później już jako podpułkownik Lipiński dowodził pułkiem KBW w Poznaniu i był jednym z uczestników wydarzeń poznańskich. Jako ciekawostkę warto przytoczyć uzyskaną od niego, informację o pobycie w Poznaniu, w przeddzień tych tragicznych wydarzeń, ówczesnego sekretarza KC PZPR ds. przemysłu Edwarda Gierka⁵. Pułkownik Lipiński zapewniał mu wówczas ochronę.

Jakiś czas później możemy zobaczyć rozeźlonego pułkownika Lipińskiego, który zarządza ostre ćwiczenia kompanii szkolnej, w której służą oficerowie SB, chcący uzyskać stopnie oficerskie w wojsku. Stoją się oni w kasynie oficerskiej, gdzie wywołują ciągłe incydenty z obsługą, a szczególnie z kelnerkami. Jest zima, nocnym alarmem pułkownik podnosi kompanię „esbeków” i organizuje im marsz po lasach otaczających Bukówkę w Kielcach. Sam nadzoruje te ćwiczenia, by wytrawni oficerowie służby bezpie-



czeństwa nie oszukiwali. Brną więc po pas w śniegu, obcierając sobie „klejnoty”. Efekt ćwiczeń – jeden nieboszczyk... Pułkownik z niepokojem oczekuje na sekcję zwłok. I ulga – denat miał tętniaka, który pękł podczas wysiłku spowodowanego marszem.

Przygody nie omijały mojego bohatera również w życiu cywilnym. Są lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku. Lipiński przebywa jako pilot wycieczki we Lwowie. W kłapie marynarki ma – jak zazwyczaj – znaczek spadochroniarza. W hotelu zaczepiają go dwaj oficerowie radzieckich wojsk spadochronowych, a gdy dowiadują się, że jest on weteranem II wojny światowej i byłym spadochroniarzem dywersantem, zapraszają „starszego kolegę” na kielicha. Wódka rozwiązuje im języki i major z kapitanem wyciągają mapę Afganistanu, zaznaczając byłego dywersanta z operacjami, które prowadzili w Afganistanie przeciwko mudżahedinom. Lipiński siedzi jak na szpilkach, gdyż ma świadomość, iż prawdopodobnie pokój jest na posłuchu, a rozochoceni spadochroniarze zdradzają mu właśnie tajemnice wojskowe. Na szczęście nic się nie stało.

Wiele lat później piszący te słowa stał na przystanku autobusowym przy ul. Pawiej, niedaleko kolejowego Dworca Głównego w Krakowie. Wtem do przystanku podchodzi pułkownik Lipiński powracający z wycieczki. Ucieszony na mój widok mówi: „Kaziu, mam doskonałą rakiję, napijmy się”. Rozgląda się, jest szarówka, w okolicy kilka krzaków. Mina mu rzednie i mówi „trudno, wiesz nie wypada, by magister z pułkownikiem pili w krzakach”. I takim go zapamiętałem. Energiczny, żywotny człowiek, pełen humoru i werwy.

I ostatni epizod, jaki miał miejsce kilka lat później. Jestem w domu pułkownika, z kolegą dziennikarzem i próbujemy namówić go na spisanie wspomnień. Rezultaty mamy jednak nikłe, ale dowiadujemy się, że mający wtedy ponad osiemdziesiąt lat pułkownik podczas zawodów oficerów rezerwy wystrzelał bodajże 42 pkt, na 50 możliwych i zajął miejsce w czołówce strzelających. Pytam się „Panie Józefie, jak pan to robi?” A pułkownik odpowiada „lepiej władam nożem, najbardziej niezawodną bronią spadochroniarza”.

Fot. via autor



W moje ręce dostała się książka Anny Grażyny Kister pt. *Pretorianie Polski Samodzielny Batalion Specjalny i Wojska Wewnętrzne 18 X 1943 – 26 III 1945*. Sam przed wielu laty myślałem o napisaniu monografii poświęconej historii Polskiego Samodzielnego Batalionu Specjalnego. Dlatego z dużym zainteresowaniem przestudiowałem książkę A.G. Kister. Dzieje Polskiego Samodzielnego Batalionu Specjalnego stanowią niepoznany do końca fragment najnowszej historii. Jak pisze autorka, jest to spowodowane niedostatkiem źródeł oraz minimalną ilością publikacji na temat batalionu i jego historii. Należy się również zgodzić z tezą A.G. Kister, że temat nie istniał w świadomości społecznej. Historię batalionu autorka przedstawiła w czterech rozdziałach, przy zastosowaniu metody chronologiczno-rzeczowej. Pierwszy rozdział ukazuje dzieje batalionu od października 1943 r. do kwietnia 1944 r. Drugi omawia współpracę PSBS z Polskim Sztabem Ruchu Partyzanckiego (maj–sierpień 1944). Kolejny, trzeci rozdział obejmujący okres od sierpnia do listopada 1944 r. przedstawia dzieje PSB od przekazania go do dyspozycji resortu bezpieczeństwa publicznego PKWN. Ostatni rozdział poświęcony został tworzeniu wojsk wewnętrznych do momentu powołania Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Monografię kończy obszerny aneks zawierający informacje o grupach desantowych sformowanych w oparciu o kadry PSBS, biogramy oficerów PSBS. Wartościowym elementem książki jest bibliografia, która zainteresowanym tematyką pozwoli na pogłębienie wiedzy i skonfrontowanie wniosków autorki z własnymi przemyśleniami.

W książce daje niestety znaczący przykład narracji historycznej, polegającej na dyskredytacji motywów ideowych i patriotycznych ludzi idących do Polski ze Wschodu¹. Nie możemy opowiadać prawdziwej historii PRL tylko z perspektywy osób tracących majątki lub żołnierzy AK trafiających do więzień. Musimy patrzeć na historię także z punktu widzenia przeprowadzających reformę rolną, zgłaszających się do walki ze zbrojnym podziemiem, awansujących z chtëpów na robotników, inżynierów czy uczonych. Najlepiej wyszkolony batalion pretorianów, jak pisze A.G. Kister, nie miałby szans na utrzymanie władzy swoich politycznych mocodawców, gdyby nie wsparcie dużej części społeczeństwa dla formujących się struktur państwowych. Warto zapamiętać słowa, jakimi zwrócił się prof. T. Manteuffel do swojego współpracownika A. Gieysztorza, gdy ten pytał go, czy się ma zaangażować w działalność WIN. Usłyszał w odpowiedzi: teraz nie robimy konspiracji, teraz robimy uniwersytet. O tym przesłaniu musimy pamiętać, czytając książkę o Polskim Samodzielnym Batalionie Specjalnym. Monografia jest pozycją wartą przestudiowania i niewątpliwie pożyteczną w wyjaśnianiu skomplikowanej historii naszego państwa i jego sił zbrojnych.

W książce daje niestety znaczący przykład narracji historycznej, polegającej na dyskredytacji motywów ideowych i patriotycznych ludzi idących do Polski ze Wschodu¹. Nie możemy opowiadać prawdziwej historii PRL tylko z perspektywy osób tracących majątki lub żołnierzy AK trafiających do więzień. Musimy patrzeć na historię także z punktu widzenia przeprowadzających reformę rolną, zgłaszających się do walki ze zbrojnym podziemiem, awansujących z chtëpów na robotników, inżynierów czy uczonych. Najlepiej wyszkolony batalion pretorianów, jak pisze A.G. Kister, nie miałby szans na utrzymanie władzy swoich politycznych mocodawców, gdyby nie wsparcie dużej części społeczeństwa dla formujących się struktur państwowych. Warto zapamiętać słowa, jakimi zwrócił się prof. T. Manteuffel do swojego współpracownika A. Gieysztorza, gdy ten pytał go, czy się ma zaangażować w działalność WIN. Usłyszał w odpowiedzi: teraz nie robimy konspiracji, teraz robimy uniwersytet. O tym przesłaniu musimy pamiętać, czytając książkę o Polskim Samodzielnym Batalionie Specjalnym. Monografia jest pozycją wartą przestudiowania i niewątpliwie pożyteczną w wyjaśnianiu skomplikowanej historii naszego państwa i jego sił zbrojnych.

A.G. Kister, Pretorianie Polski Samodzielny Batalion Specjalny i Wojska Wewnętrzne 18 X 1943 – 26 III 1945, Warszawa 2010, ss. 238 + 2 nlb.

1. Prawdopodobnie jednak chodziło tu o żołnierzy tzw. „Brygady Kamieńskiego”

2. Odwrócenie głowy miało związek z zabezpieczeniem się przed odczytaniem z ruchu warg rozkazu o natychmiastowym wystrzeleniu tych zbiorów.

3. Zona generała Janusza Zarzyckiego (Neugebauera).

4. 550 żołnierzy.

5. W posiadaniu autora wspomnień znajduje się książka A. Czubińskiego na której pułkownik Lipiński zapisał tę informację.

1. Znana opozycjonistka w PRL – Barbara Toruńczyk – jest córką dowódcy batalionu płk. Henryka Toruńczyka, dąbrowszczaka, którego wybory ideowe, tak jak jego córki, miały charakter wybitnie nonkonformistyczny.